



Wiosna idzie!

Był wczesny kwietniowy poranek.

Jerzyk stał na środku obsychającej dróżki. Przystępował z nogi na nogę i pytał sam siebie:

— Jest już prawdziwa wiosna, czy niema jeszcze tej wiosny?

A wtem zobaczył coś, co go bardzo zdziwiło: daleko na dróźce poruszały się małe, czerwone plamki.

Cóż to takiego? — zaciekawił się Jerzyk.

Niewiele myśląc, zaczął biec w to miejsce. Nie ubiegł i połowy dróżki, gdy stanął jak wryty. Już widzi stąd wyraźnie: — Ależ tak! To człowieczki! Małe, czerwono ubrane ludziki!

Poznał Jerzyk odrazu: krasnalki!

Ucieszył się strasznie. Jakże? Toć nigdy jeszcze nie widział żywych prawdziwych krasnoludków.

Ucieszył się, ale i zląkł się, żeby ich nie spłoszyć! Może się one ludzi boją?

Staną więc, ani drgnie, oddech wstrzymuje...

Ale krasnoludki oczy mają bystre, choć małe jak łebki u szpilki. Też go zobaczyły.

Nie zlekły się jednak, nie znikły, w ziemię nie zapadły.

Przeciwnie. Całkiem po przyjacielsku zaczęły czerwonymi czapeczkami wymachiwać i wołać cienkimi głosikami:

— Jak się masz, Jerzyku? A chodź-

że do nas, chłopcze! Chcesz z nami wiosnę powitać?

Nie trzeba było Jerzykowi zaproszenia dwa razy powtarzać! Już jest pomiędzy krasnalkami. Uważa tylko, żeby którego nie nadeptać. Więc dla spokoju na szarym kamieniu przysiadł. Patrzy, co też one robią?

A krasnoludki ustawiły się jak wojsko na paradzie w długi, czerwony szereg po obu stronach dróżki.

— Uważaj — powiadają do Jerzyka, — gość jedzie.

I rzeczywiście, patrzy Jerzyk: jedzie gość niebylejaki. Na zwierzu dziwnym a wspaniałym, na Zaklętym Jednorogu jedzie sam krasnoludkowy król zwierząt. Za nim jadą jego dworzanie: ten na jeleniu, ten na łosiu, ów na dziku, a jeszcze inni w pojazdach ciągniomych ochoczko przez sarny, zające, wiewiórki, lisy, borsuki i jeże.

Wszystko na trąbach złotych gra, na fletach srebrnych, na piszczałkach i bębnach — aż ta muzyka w uszach huczy!

Jeszcze się Jerzyk nie napatrzył temu dziwowisku, a tu wołają krasnoludki:

— Bacność! Uwaga! Drugi gość znakomity się zbliża!

I rzeczywiście, patrzy Jerzyk, a tu ponad dróżką na tęczyowych skrzydłach cudnego Rajskiego Ptaka, jak na samolocie, leci sam krasnalkowy król ptaków piękny i śmiały.

Za nim zaś śmigło i chyżo cały dwór jego frunie: jedni z dworzan siedzą dzielnie na grzbietach bocianów i czapli, inni spocznowią w przedziwnych wozach, unoszonych w powietrzu przez długie zaprzęgi granatowych jaskółek, żółtych wilg, niebieskich krasek... Bóg wie, jakich jeszcze ptaków.

A wszystko to śpiewa tak pięknie, tak głośno, aż się w głowie mąci!

Jeszcze się Jerzyk nie napatrzył dosyta na to widowisko, a krasnoludki już krzyczą:

— Baczość! Uwaga! Trzeci gość i niebylejaki! Powitaj-że go godnie!

Ach, jakże witać takiego gościa? Aż pociemniało Jerzykowi w oczach z wielkiego zachwytu, kiedy zobaczył przed sobą na dróżce samą... Królowną Kwiatów!

Stoi oto cudna, uśmiechnięta, w wianeczku z fiołków na złotych włosach, w bucičkach z rosy porannej, w sukience z mgły.

A przed nią, za nią, koło niej — dwój jej: dziewczynki-stokrotki, dziewczynki-niezapominajki, dziewczynki-różyczki i inne, i jeszcze inne... Stoją i patrzą, i uśmiechają się przyjaźnie do tego zwyk-

łego chłopca w latanym kożusku, w za-
bloconych butach, do Jerzyka.

— Patrz, oto jest już prawdziwa wiosna — mówi Królowna Kwiatów do Jerzyka. — Idź i powiedz to w domu. Śpiesz się!

Więc Jerzyk posłusznie zawraca dróżką.

Wpada Jerzyk do domu i widzi: oto wychodzą ze wszystkich kątów domu, z zapieców, z pod komina dziwne, znajome postacie. Zmierzają do drzwi.

Poznaje Jerzyk: są to zimowi bajkowi goście. Pierwsza przechodzi przez próg Baba Jaga, za nią drepcze Kot w butach, za kotem Smok, za Smokiem Tomcio Paluszek, za nim Wyrwidąb kroczy z Wali-górą, wreszcie Rycerz z mieczem Samosieczem u pasa i ze Śpiącą królowną na rękach.

Przeszli wszyscy przez próg na ganek, z ganku weszli w zazieleniały nagle sad i... znikli jak cień w jasnym, wiosennym słońcu.

Długo patrzył za nimi Jerzyk. Zegnał ich serdecznie, ale nie żałował ich odejścia. Nie będą mu potrzebni aż do zimy. Teraz jest wiosna!
Niech żyje!

O trzech piekarczykach

Było sobie dwóch chłopczyków piekarczyków. Jeden nazywał się Pączus Konfiturka a drugi Faworuś Mączka. Robota paliła im się w rączkach, bo do roboty zwinne mieli rączki. Jeden wypiekał faworki, a drugi — smakowite pączki. Dobrze się piekarczykom powodziło i założyli sobie dwie duże piekarnie, tuż koło siebie, na wielkim placu, w pobliżu królewskiego pałacu. Obaj chłopcy bardzo byli chewi, żaden biedny nigdy się u nich reszteczką pączka nie pożywił, ale za to obaj ubrani

byli wspaniale, bo na ubranka guzików nie pożałowali wcale. Tłusty Pączus nosił majteczki w kropeczki i bluzeczkę z rękawami w kształcie pączków. A chudy Faworuś nosił fartuszek, i czepek śliczny, wycinany w ząbki i zupełnie wyglądał, jak faworkowy król na maskaradzie.

Faworuś z Pączusiem bardzo się lubili. Ale kto się lubi, ten się czubi, więc i oni się czubili o to, który z nich większym jest panem. A bywało, wyleci Pączus przed piekarnię, wyleci i Faworuś w wolnej chwili

li, spojrzą na siebie, na pięć się obróćą i już się kłóćą. Krzyczy Pączus: — Wiesz, Faworuś, już sam pan burmistrz moje pączki kupuje, paluszki ukradkiem obliżuje.

— Ho, ho, wielkie rzeczy, a moje faworki stara ciotka króla jada na podwieczorki.

— Hi, cóż wielkiego? A do mnie sam król raz wstąpił, pączków sobie nie poskapil.

— Czekaj, czekaj, moje faworki świeże też powędrują na królewskie talerze.

— A nieprawda, nie kłam!

— A ty, chwaleo, idź do piekła!

Tak się kłóciły piekarczyki, że aż sam król usłyszał ich krzyki ze swego królewskiego okna. Bo król często oknem sobie wyglądał i popatrywał wesoło, co się dzieje naokoło. Ale od tych krzyków kłótliwych piekarczyków rozboleła króla głowa w samym środku. Zawołał król lokaja i pyta:

— Któż tam wyprawia takie awanturki?

A lokaj uśmiechnął się pod wąsem i odpowiedział z przekąsem:

— Ha, to u piekarczyków, u Faworusia Mączki i Pączusia Konfiturki. Niewiadomo, za co tak do oczu sobie skaczą.

— Ho, ho, hm, — chrząknął król, wziął berło, koronę lśniącą srebrzyście i do piekarczyków poszedł osobiście.

— Pytam się was, zbytniki, co to są za krzyki, — pyta król, hamując z trudem gniew i groźnie marszczy brew, a piekarczyki tłumaczą się, tłumaczą i znów przy królu do oczu sobie skaczą.

Król zrozumiał, z kim ma do czynienia i mówi:

— Hej, wy zuchwalce, pyszni zarozumialce, idźcie sobie w świat i powiadam wam mianowicie, żebyście nie wracali wpierw, nim się na lepsze nie zmienicie.

Wiedzieli piekarczykowie, że król nie od parady koronę nosi na głowie i że żartować z królem nie można. Kupili więc sobie auto do wspólki, wszystkie stroje na siebie powkładali i w świat drogą pojechali.

Jadą, jadą z wielką paradą, kamień, nie kamień, sęk, nie sęk. Naprzód, w prawo, w lewo i wprost, jadą, śpiewając na cały głos:

— Jestem ci ja piekarczykiem
mam zwinne pączki,
wyrabiam, wypiekam
nadmiewane pączki.
Gdzie są bale w karnawale,
gdzie sto par w taneczku mknie,
tam bez moich pączków smacznych
nie obejdzie się.

Tak sobie Pączus przyśpiewywał mile a i Faworuś też nie został wtyle, i, jak mógł, tak wrzeszczał:

— I ja jestem piekarczykiem,
dzieło moje znane.
Wypiekam ja faworeczki,
mączką obsypane.
Upiekłem raz cały worek
na królewski podwieczorek
a królewska ciotka stara,
zjadła ich tam coniemiera.
Jadła, jadła, wychwalała,
paluszki obliżywała.

Jadą piekarczyki, jadą, z wielką paradą, kamień, nie kamień, sęk, nie sęk, aż tu nagle słyszą, że z boku drogi woła ich jakiś chłopczyk ubogi:

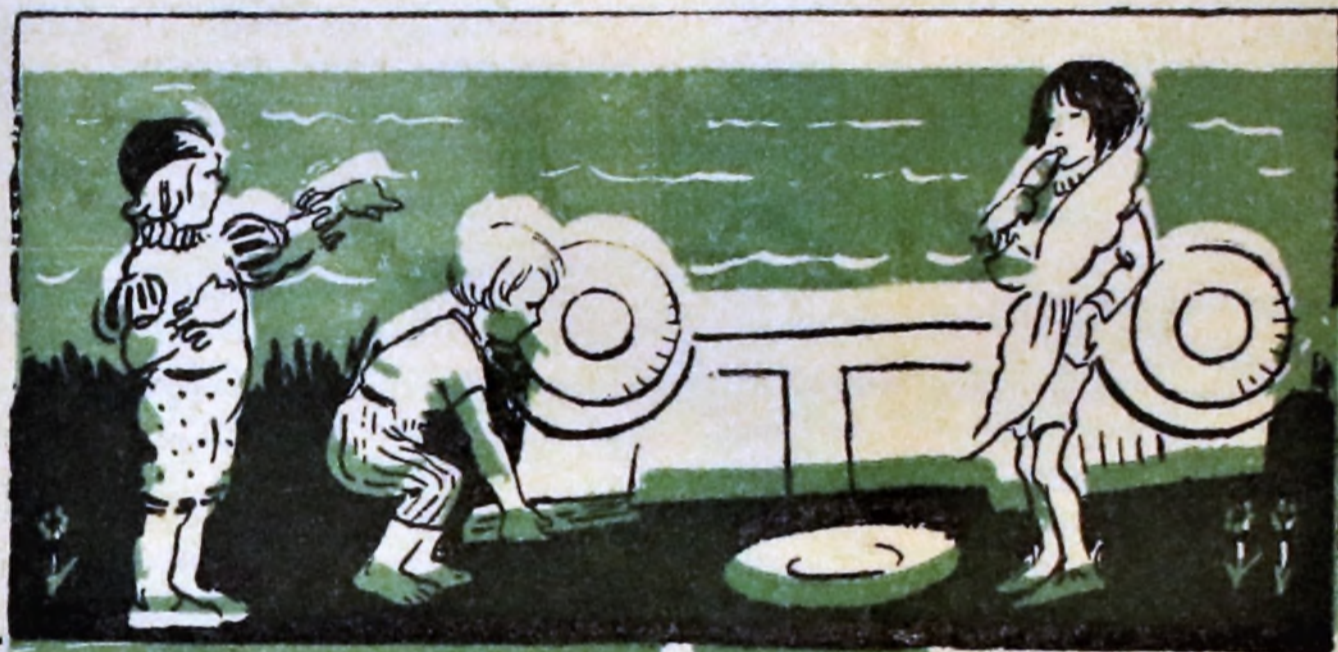
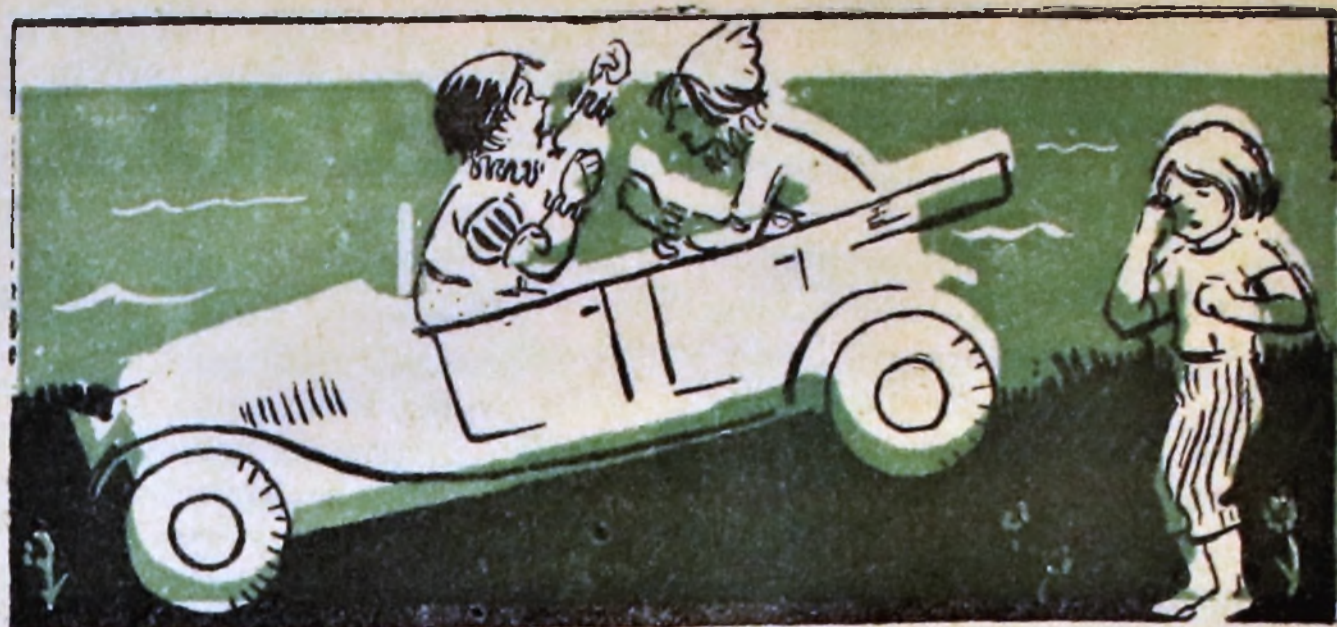
— Chłopcy, chłopcy, chociaż jesteście obcy, ale podwieźcie mnie kawałek, bo strasznie się śpieszę do jednej chatki, gdzie na mnie czekają głodne dziatki.

— Czekaj, czekaj, a coś ty za jeden, że chcesz z nami autem jechać? — pyta nastroszony Pączus, a chłopczyk odpowiada:

— Jestem sobie piekarczykiem,
dzieło moje znane,
piekę ja dla najuboższych
placuszki owsiane.
Hej górale, góralczyki
chwałą moje podplomyki,
bo gdy kto jest głodny bardzo,
podplomykiem nie pogardza.
A te moje placki,
moje podplomyki
może kupić najbiedniejszy
za drobne grosiki.



Historja piekarczyków w obrazkach



Historja piekarezyków w obrazkach

— Patrzcie go, przyszedł znienacka i opowiada o owsianych plackach a do tego chce jeszcze autem z nami jechać — oburzał się niedobry Pączus, a niegodziwy Faworuś huknął:

— Taki oberwus i zawalidrózka niech na własnych wędruje nóżkach!

Rozplakał się biedny piekarczyk, co podplomycki wypiekał, bo droga była przed nim daleka a wiedział, że głodne dzieci czekają na niego.

A Pączus z Faworusiem dalej hucznie i buńczucznie jechali. Jadą, jadą, z wielką paradą, kamień, sęk, nie sęk, a wtem auto nagle brzęk! Brzęknęło, skoczyło, do góry się przewróciło. Bo pień jakiś, co po drodze stał tam, zawadził o kółeczko auta. Ledwo z życiem uszedł Pączus z Faworusiem. Stoją w szczerem polu i wołają z rozpaczą:

— Już to auto nie pojedzie, któż nam dopomoże w biedzie?

Usłyszał to piekarczyk Podplomycek, który zdążył już głodne dzieci podplomyczkami pożywić a teraz wracał do domu. Dobry był Podplomyk, dobry, jak to słonko, co po niebie chodzi. — Widząc obu chłopców w tarapatach, zbliżył się do nich i rzecze: — Nie martwcie się, moi drodzy, chodźcie ze mną, zaprowadzę was do wsi, bo znam drogę, a teraz jesteście pewno głodni, więc zjedziecie, proszę, po owsiarny placuszku. Czem torba bogata, tem rada.

Oj, tak dziwnie jakoś zrobiło się na sercu niegodziwemu chłopakom. I chcieli-by Podplomyczka uściskać i wstyd im jednocześnie.

Wreszcie westchnęli, przyjęli pocęstunek i ruszyli w drogę. Ale po drodze z przyzwyczajenia znów się zaczęli kłócić odniechcenia. I znów Pączus powiada, że pączki są ważniejsze, a Faworuś, że jego faworki. A Podplomycek, słysząc ten spór, poradził im tak:

— Jest tam we wsi szkoła, w niej działwa wesola. Wiem, że szkolne działki rozwiązują różne zagadki, to może ich się spytamy, czy pączek, czy faworek jest ważniejszy.

Spodobała się ta rada Pączusowi i Faworusiowi i, jak tylko doszli do wsi, w

tej chwili do szkoły pośpieszyli wraz ze swym przewodnikiem, miłym Podplomykiem.

Wchodzą w trójkę do szkolnej izby, a dzieci, zobaczywszy Podplomyka, wnet kółkiem go otaczają i tak go witają:

— Przyszedł do nas gość, gość,

nieście w torbie coś, coś.

A w tej torbie co? co?

Podplomyków sto, sto.

Upiekl ci je piekarczyk,

dla każdego wystarczy.

Podplomycki owsiarne,

każdy jeden dostanie.

Jeden kupi Zosia

za dwa i pół grosza.

Drugi kupi Janek,

trzeci Stefanek.

A biedna Ksawercia,

choć nie da grosika,

też dostanie podplomyczek

od piekarczyka.

Pączus z Faworusiem, radzi nie radzi, pod oknem w kącie stali i wszystkiego wysłuchali. A, że głupcami nie byli, więc powiada Pączus do Faworusia:

— Słuchaj, Faworuś, mnie się zdaje, że dzieci już rozwiązały zagadkę, bo wyraźnie śpiewają, że Podplomyka kochają.

— A mnie się zdaje, że morał jest taki tej zagadki, że my jesteśmy gaгатki!

— Ojej, co też ty wygadujesz? — rzecze Pączus, a Faworuś, jak mu nie zatrąbi do ucha: — Tere, fere, kuku, ten jest najważniejszy, kto jest dobry i dla bogatych i dla najbiedniejszych. Już wiem, co zrobić, zaraz jutro przyślę tu faworków cały worek dla biednych dzieci na podwieczorek. Niech wiedzą, jakie moje faworki smaczne.

— O, to i ja myślę, że im dwa worki pączków przyślę. Nie będę taki, niech się pożywią dzieciaki. A teraz zmykajmy co siły, bo naprawdę wstyd!

Pączus z Faworusiem wrócili do swoich piekarni i znów mieszkają na placu, tuż koło królewskiego pałacu. Ale nigdy się już nie kłóca, więc król ich nie wyrzeka. Przeciwnie, ostatnio król ich osobiście pochwalił uroczystie, bo się dowiedział, że wspierają, jak mogą, działwę ubogą.

Nasze listy



Odpowiedzi na wszystkie listy,
nadesłane przez Was do Redakcji,
podamy w następnym numerze
„Krasnoludków“



Dziwy dziewiątki

Dziewiątka jest bardzo miłą cyfrą zwłaszcza dla tych, komu z trudnością przychodzi zdobycie tej najważniejszej ze wszystkich „zdobyczy“ matematycznych, mianowicie — tabliczki mnożenia.

Otóż można zupełnie nie uczyć się mnożenia przez 9. Nacu sobie obciążać pamięć! Wystarczy mieć 10 palców u rąk; obie ręce położyć na stole i unosić odpowiedni palec. Mnożenie samo się dopełni, potrzeba tylko odczytać rezultat. Jeśli naprzykład chcemy pomnożyć 9 przez 5, podnosimy palec trzeci od lewej i czytamy: ilość palców w lewo od podniesionego będzie oznaczała dziesiątki (2), ilość palców w prawo — jednostki (7). Jeśli chcemy 7 pomnożyć przez 9, unosimy palec siódmy od lewej strony i czytamy 63.

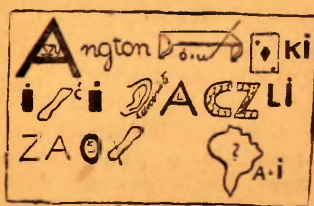
Rozsypane przysłowia

Dobierzcie z poniższych słów odpowiednie, by otrzymać znane przysłowia:

Bóg, Bóg, deszczu, daje, dopóty, dopóki, dzban, kto, kują, konia, konia, nosi, nie, nogę, oko, Pan, pańskie, pod, podstawia, Pan, rynnę, rano, strzeże, się, strzeżonego, tuczy, temu, urwie, ucho, wpadł, wstaje, wodę, z, żaba.

REBUSY

(za rozwiązanie każdego 5 punktów)



Logogryf

Odgadnąć 8 wyrazów o podanem znaczeniu. Początkowe litery dadzą rozwiązanie. Znaczenie wyrazów: 1. — Dopływ rzeki Wisły. 2. — Owad. 3. — Duży las. 4. — Imię żeńskie, 5. — Okres czasu. 6. — Przyprawa do mięsa. 7. — Ptak, 8. — Zdrobniałe imię żeńskie.



HUMOR

Nieporządną

— Kaziu, dlaczego tak długo wczoraj siedziałeś? Mamusia się gniewa, jak tak długo świecisz — mówi mała siostrzyczka.

— Ach, szukałem Filipinów, Hanusiu, nie wiedziałem, gdzie leżą.

— Z każdym dniem robisz się bardziej nieporządną. Mógłbyś już pamiętać, gdzie kładziesz swoje rzeczy.

Wróci...

Pięcioletniemu Pawelkowi umarł dziadek, bardzo ceniony lekarz. W parę dni po śmierci dziadka mamusia powiedziała do Pawelki, że dziadzio poszedł do Boga.

— O mamusiu, pewno Pan Bóg jest bardzo chory, kiedy zawołał dziadzia do siebie, ale kiedy dziadzio dobrze wyleczył Bożę, to potem wróci do nas. Nieprawdaż?

••

— Dlaczego się spóźniłeś do szkoły, co?

— Bo pan profesor wczoraj mówił, że ziemia się kręci dookoła, więc ja czekałem przed domem, żeby szkoła nadjechała..

Zdanie o cykorji

— Ułóż zdanie, w którym byłyby mowa o cykorji.

— „Codziennie piję dwie szklanki kawy“.

— No, gdzież tu jest „cykorja“?

— W kawie!

Wielka noc

Ho, ho! Hania niejedno już wie!

Pani opowiada tyle ciekawych rzeczy. Wie, na przykład, że w lecie dni są dłuższe, a noce krótsze. W zimie odwrotnie.

— No, a kiedyż to, Haniu, jest najdłuższy dzień?

— W lecie, Henryczku, na święty Jan.

— A noc?

— Noc? — Hania się zamyśla... wreszcie wykrzykuje: — Ależ Wielkanoc, przecież sama nazwa o tem mówi!

Zrozumiałe

— Jasiu! Twoje wypracowanie na temat „Nasz pies“ jest takie same, jak i u twojego brata.

— Bo przecież my mamy tego samego psa

*W następnym numerze opowiemy Wam o Waszych
rówieśnikach w dalekich ziemiach*